Cena 18 fen. — 13 cent.

Nr. 13. Rok X.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla rodzin polskich.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom

ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 1-go Lipca 1896. Nr. 13.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

Edyta nie przerwała uniesienia staruszki, z jakiem ta wygłaszała pochwały swej najdroższej Pauleczki, którą wraz z innemi uważała za anioła i błogosławieństwo całej okolicy.

— Bo to widzisz, moja droga panieneczko, kiedy już inaczej być nie może i Pan Bóg pozabierał nam wszystkie dziatki, a nawet niema i tej serdecznej Maryni, którą wypiastowałam na własnych rękach, to już chyba i najlepiej będzie, że te wszystkie bogactwa przejdą w ręce naszej Pauleczki!

— Czy Paula jest najbliższą krewną p. Hohenhofena? Mówiono mi, że on ma jeszcze syna?

— Nie, nie, mój aniele — zaprzeczyła poważnie staruszka. — Musiałaś panienka chyba coś słyszeć o panu Franciszku? Śliczny to i poczciwy z kościami chłopiec, jak się o tem panienka sama przekonasz, ale to tylko pasierb, a nie syn starego pana. Bo ta jego druga żona była wdową i miała dwoje dzieci, syna i córkę. Córka, biedny aniołek, umarła tu u nas, a po jej śmierci dobra pani jeszcze serdeczniej pokochała swego jedynaka, Frania. O! i nasz pan bardzo go też kochał; bo to był złoty chłopczyna, rozumny, dobry i szlachetny, jak jego matka. Długo trzebaby szukać, żeby znaleźć drugą podobną panią! Sprawiedliwa, łagodna, dobra dla wszystkich; była ona wzorową matką dla swego Frania, a potem i dla Pauleczki, kiedy tę sierotkę po śmierci jej ojca przywieziono do stryja. Nigdy nie zapomnę ile to się napłakałam owego dnia, kiedy nam oddano tę kruszynę, jedynaczkę pana Ryszarda von Hohenhofen, który do śmierci pieczętował się herbem pradziadów. Nie mogłam do niej przemówić bez łkania; ale mała sroczka rozśmiała się do mnie jak słonko i jednym susem skoczyła mi na kolana. Rozgospodarowało się to zaraz po całym zamku, jak nie przymierzając szara gąska. Swojej stryjence zakradła się zaraz do serca, usługiwała jej i przymilała jak własna córka, nie nazywała jej inaczej jak tylko mamą, dlatego że i Franio tak na nią wołał. Oboje te śliczne i dobre dzieci wyrosły tu przy nas, obok siebie, a nasi państwo prze-

stali się martwić, że im Bóg odmówił nowego potomstwa; nasz pan zapomniał nawet, że kiedyś sam miał także dzieci. A jednak, o mój Boże, jakże cudnie piękną i dobrą była nasza serdeczna Marynieczka!...

Tu staruszka otarła łzy spływające po twarzy, nie mogąc stłumić bolesnego łkania.

— Czy to ta sama Marya, której tablicę pośmiertną widziałam niedawno w waszym kościółku?

— O! tak, tak, moja panienko; tę tablicę kazał nasz pan wmurować na pamiątkę naszej biednej, najdroższej dzieciny.

— I ona umarła tak wcześnie! — zawołała znowu Edyta. — Jak to musi być smutno umierać w ośmnastym roku życia!

— O! tak, tak, smutno też i ciężko zrobiło się wtedy nam wszystkim.

— A z czegóż umarła? Na jaką chorobę? — zagadnęła amerykanka.

Małgorzata zawachała się na chwilę.

— O! moja panienko! bardzo to jest smutna historya. Marynieczka podróżowała wtedy z ojcem i utonęła gdzieś w czasie burzy na morzu. Więcej o niej nikt z nas nie wie. Nasz pan powrócił sam do domu, złamany na duchu, oniemiały i nieprzystępny. Nie mówił on nigdy o śmierci swego dziecięcia i nikt mu też nie ważył się o niem wspomnieć. Sądziłam już że tego nie przeżyje; ale Bogu dzięki, powoli zaczął znowu przychodzić do siebie, a kiedy się potem ożenił, a Franio i Pauleczka nowem życiem napełnili ten zamek, zdawało się jakby i w niego raźniejszy duch wstąpił. Ale mój Boże! długoż to potrwało? Przyszły znowu na niego nieszczęścia. Nasza dobra, kochana pani położyła się w łóżko, którego już nie opuściła, ażeśmy ją zalani łzami odprowadzili do grobów familijnych; Franio wyjechał do wielkiego miasta, ażeby się zająć własnemi interesami. Gdyby wtenczas jeszcze i Pauleczka nas opuściła, to już nie wiem coby się było zrobiło z zamkiem! Ona tylko jedna potrafi sobie dać radę ze starym panem, który jest i chory, i zgryźliwy, zły i nieprzystępny, jak wtedy kiedy powrócił ze swej nieszczęsnej podróży. Nie wiem już doprawdy ile lat to się tak ciągnęło, tylko ten anioł Paula może przy nim wytrzymać. O! ma ona z nim ciężki krzyż ta biedna, droga dziecina, ale ją też Pan Bóg kiedyś za to wynagrodzi.

— No — pomyślała sobie w duchu Edyta — i sukcesya także przecie coś znaczy! Ta myśl bardzo brzydko skrzywiła jej piękną twarzyczkę, ale staruszka nic nie spostrzegłszy, ciągnęła dalej:

— Ha! już i teraz czeka ją niemała uciecha, bo wkrótce nasz Franio przyjedzie. Czy panienka nic nie wie, że właśnie oczekujemy naszego złotego panicza? A do tego odbędą się tu u nas zaręczyny! Wiem ja to od mego starego Fryca. Nasz chory jegomość zapewne nie zechce dłużej zwłóczyć; bo to mój aniołku, Franio i Pauleczka już oddawna zostali sobie przeznaczeni. Nasz pan chce oddać pasierbowi całe swoje ogromne zakłady fabryczne, wraz z firmą, a Pauleczka dostanie zamek z gruntami i wsią, która do zamku należy. Tak więc wszystko pozostanie w jednych rękach, skoro nasz biedny pan oczy zamknie, na co jak mi się zdaje niedługo trzeba będzie czekać, bo z każdym dniem jest gorzej.

Twarz Edyty tak jakoś dziwnie pobladła a przytem ironiczny wyraz tak wybitnie zmienił jej rysy, że nawet dobroduszna staruszka musiała to spostrzedz. Sądziła jednak w swej poczciwości, że to wspomnienie o rychłej śmierci pana zamku tak niemiłe wrażenie wywarło na panience. Chcąc naprawić swoję niebaczność, dodała natychmiast:

— No, trudno to mówić o tem z pewnością, panisko może jeszcze przyjść do siebie!

— Ach! czemuż ja go choć raz zobaczyć nie mogę; — przerwała w zamyśleniu Edyta. — Wiele dałabym za to, bo wszystko czego się nasłuchałam o waszym panu, niezmiernie mię zaciekawiło; byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby mi Paula pozwoliła pomagać w doglądaniu chorego. Ale ona na to nie

pozwoli, stanowczo mi odmówiła. Strzeże go tak zazdrośnie!

— Tak, tak, lubi się ona bardzo poświęcać dla niego, już zna jego kaprysy. Ale Boże się zmiłuj! co się też przy nim nacierpi. Jestem bardzo rada, że Franio przyjeżdża, bo i on umie z nim trafić do ładu.

— A kiedyż przyjeżdża pan Franciszek?

— W tych dniach niezawodnie. Alboż Pauleczka nic panience o tem nie mówiła?

— Wspominała coś mimochodem, że się nasze kółeczko domowe powiększy o jednę osobę.

— Mała filutka! — przerwała ze znaczącym uśmiechem stara; — wie ona dobrze, jaką to przyniesie zmianę. Franio już teraz odjedzie z pierścionkiem na palcu; a od zaręczyn do wesela pewno będzie niedaleko, bo nasz pan, jak się raz na co uweźmie, to już mu tego niczem nie wybijesz z głowy.

— Czy się ci państwo młodzi tak gorąco kochają? — zapytała miss Frinksly.

— Ojcze niebieski! a to co znowu za pytanie? Alboż to oni o czem innem myśleli od dzieciństwa, jak tylko o tem żeby się wzajemnie kochać? Jedno bez drugiego obejść się nie mogło. Czyż takie gołąbki mogą się jeszcze namyślać nad weselem?

Starowina w swoim zapale gadulstwa powiedziała może daleko więcej niż sobie tego sama życzyła, nie wiedząc, że to dogadzało ciekawości Edyty. Tymczasem zaczęło się już zciemniać i Paula powracająca od biednych, weszła do Małgorzaty po swoją przyjaciółkę, łając ją, że zamiast korzystać z pięknej pogody, dusi się w pokoju.

IX.

Oczekiwany.

W chwili, gdy nasze przyjaciółki wracając z wieczornej przechadzki, zamyślały boczną drogą dojść do zamku, spostrzegły powóz wjeżdżający w aleję topolową. Siedział w nim mężczyzna, którego Paula za pierwszym rzutem oka poznała. Jasny rumieniec szczęścia oblał jej łagodne rysy i z serdeczną radością zawołała:

— Ach! kochany Franciszek! Jest to ten sam, o którym ci niedawno mówiłam, Edyto, — dodała przyspieszając kroku dla wyprzedzenia powozu na zakręcie alei.

I nadjeżdżający spostrzedz już musiał obie panienki. Powóz zatrzymał się, a młodzieniec poszedł przez łąkę dla spotkania się z Paulą. Powitali się spojrzeniem pełnem życzliwości i serdecznem uściśnieniem ręki.

Miss Frinksly, przyglądając się z uwagą tej romantycznej scenie, cofnęła się o parę kroków; ale Paula, która bynajmniej o niej nie zapomniała, zawołała wesoło:

— Pójdźno tu Franiu i przywitaj moję przyjaciółkę, a ty Edyto zbliż się także, żebym ci mogła przedstawić przyszłego towarzysza naszej samotności.

Posłuszna miss Frinksly zbliżyła się natychmiast, a Franciszek Ostitz zaledwie zdołał stłumić okrzyk podziwienia, spostrzegłszy przed sobą nieznajomą, której ocalił życie na morzu. Słowa radości cisnące się do ust jego zamarły, bo spojrzenie dziwnie błagające zwróciła ku niemu Edyta. W jej oczach malowała się tak wyraźna, natarczywa prośba, że niepodobna było nie zrozumieć jej, tem więcej iż jednocześnie zwróciła się ku niemu z zimno-grzecznym ukłonem, jak do obcego zupełnie człowieka.

Pauli ani przez myśl nie przyszło dziwne położenie obojga, tem więcej, iż żywa radość spowodowana przyjazdem Franciszka uczyniła ją niezdolną do wszelkich uwag. Z niezwykłem ożywieniem prowadziła z nim ciągle rozmowę, to zarzucając go pytaniami, to udzielając nawzajem wiadomości o chorym stryju. Tu i owdzie wmięszała słówko o zamku i szczerą pochwałę dla miss Frinksly, dając sposobność przez to swej przyjaciółce do wzięcia udziału w ogólnej pogadance.

Przyznać jednak należy, że Paula najwięcej przyczyniła się do utrzymania rozmowy. Franciszek słuchał jej z wiel-

kiem zajęciem, co mu jednak nie przeszkadzało bynajmniej do wpatrywania się z uwagą w miss Frinksly, ile razy mógł to uczynić niepostrzeżenie. Oczy jego bezustannie zwracały się ku tej pięknej dziewczynie, która już raz tak niespodzianie stanęła na drodze jego życia. Jedno tylko zamącało jego radość, to jest ów dziwny upór, z jakim miss Frinksly starała się ukryć ich przelotną znajomość. Zapamiętał on aż nazbyt dobrze owo głębokie, wdzięczne spojrzenie, którem tak wymownie mu podziękowała za ocalenie na morzu; jak również i to urocze, dziecięce zaufanie, jakie mu okazywała w ciągu wspólnej przeprawy, a nakoniec i owo przyjacielskie uściśnienie ręki, którem go pożegnała w Hamburgu.

Franciszek Ostitz był człowiekiem prawym i otwartym, brzydzącym się wszelkiego rodzaju udawaniem, to też okoliczność, że pod naciskiem prośby musiał zataić przed Paulą znajomość z Edytą, gniewała go do tego stopnia, iż mimowoli powziął niechęć do amerykanki.

Wszystkie te wrażenia lotem błyskawicy przebiegały umysł Franciszka i zostały wkrótce zatarte serdecznem przyjęciem, jakiego doznał ze strony starych służących, którzy go znali od lat dziecięcych. Edyta skorzystała z powszechnego zajęcia, ażeby się usunąć do swego pokoju.

— Jakaż to piękna ta twoja nowa przyjaciółka! — odezwał się Franciszek, idąc obok Pauli do pokoju ojczyma.

— Prawda, że prześliczna! — zawołała z ową radosną dumą, jakiej doznaje każdy człowiek słysząc pochwałę miłych sobie osób. — A żebyś jeszcze wiedział, jaka ona dobra, skromna i chętna do wszystkiego... jakie to poczciwe dziecko! — dodała z zapałem. — Nie uwierzysz, jak mnie to cieszy, bo wyobrażam sobie straszne jej położenie... zostać tak młodo osieroconą i dostać się pomiędzy samych obcych ludzi!

Franciszek przysłuchiwał się z wielką uwagą.

— A więc ona jest sierotą? Jakimże sposobem dostała się do was? Gdzieście ją poznali? Zkąd jest właściwie rodem?

— Pochodzi ona gdzieś z okolic Londynu, ale zdaje się, że od czasu śmierci rodziców nie musiała mieć już nigdzie własnego domu. Krewni, przy których bawiła, uważali ją za zbyteczny ciężar i dlatego też musiała się udać do Bergmannsa, który jest jej kuzynem w dalszym stopniu; on to właśnie polecił ją stryjowi, jako towarzyszkę dla mnie. Jest to sobie napozór taka zwyczajna, spowszedniała historya, nieprawdaż Franciszku? A jednak, o mój Boże, jakiż to bezmiar boleści się w niej zawiera! Pomyśl tylko sobie ile to musiała wycierpieć taka młodziuchna, prześliczna istota, rzucona w świat aby szukać zajęcia w nieznanym kraju.

— Czy prosto z Londynu przyjechała do Bergmannsa, lub też miała już poprzednio jakieś miejsce?

— Ależ bynajmniej! Pomyślże sobie, że ma zaledwie lat ośmnaście. Po raz pierwszy w życiu znajduje się pomiędzy obcymi ludźmi; do Bergmannsa przyjechała z Londynu a następnie prosto do nas.

Franciszek milczał. Opowiadanie Pauli przekonało go w przeciągu jednego kwadransa już o drugiem kłamstwie ze strony miss Frinksly; wiedział bowiem najlepiej, że nie przyjechała prosto z Londynu, ale aż z Nowego Orleanu.

Nie miał jednak teraz wiele czasu do namyślania się nad tem wszystkiem, gdyż wraz z ostatniemi słowami Pauli znalazł się przy drzwiach ojczyma.

* * *

Przybycie Franciszka wpłynęło na ożywienie całego zamku. Rozpatrzenie się w zakładach fabrycznych i codzienne rozmowy z oficyalistami zajmowały gościowi znaczną część dnia, nie pozbawiając jednakże naszych panienek jego miłego towarzystwa. Franciszek był niezmiernie przyjemnym domownikiem i starał się rozproszyć swoją wesołością ów cień mimowolnego smutku, jaki ciążył na wszystkich, skutkiem choroby

i nieprzystępnego charakteru samego pana zamku.

Wieczorne posiedzenia były najpożądańsze dla wszystkich. Franciszek posiadał rzadki dar wybornego czytania, a jego wybór świadczył zawsze o gruntownem wykształceniu umysłu. Był on nietylko uzdolnionym, ale zarazem dobrym i szlachetnym człowiekiem, którego moralna wartość przewyższała jeszcze pełną wdzięku powierzchowność. Jednem słowem, należał on do owych ludzi, którzy mimowolnie wywierają wpływ na drugich i nie szukając władzy, niespostrzeżenie jednak kierują tymi, co ich otaczają.

Paula przyzwyczajona od dzieciństwa do uznawania moralnej przewagi Franciszka, z chęcią zawsze odwoływała się do niego we wszelkich zdarzeniach, pociągając swoim przykładem Edytę, której bystry umysł potrafił przeniknąć rzeczywistą wyższość.

Nie należy jednak sądzić, że tak odrazu uległa przewadze umysłowej nowego towarzysza, przeciwnie stopniowo, sama nie wiedząc o tem, dała się opanować jego urokowi, do czego więcej niż wszystko przyczyniło się jeszcze jej gorące, młode serce. I ona także nie zapomniała swego szlachetnego wybawcy. Myślała o nim bardzo często, zarówno w domu Bergmannsa, jak i w towarzystwie Pauli. Ztąd też przyjazd jego nie był dla niej rzeczą niespodziewaną, ale nie myślała o tem, że po tygodniowym jego pobycie w zamku pokocha go z całą potęgą serca. Napróżno starała się oprzeć tej miłości, daremnie z dziecięcym uporem usiłowała wyprzeć się jej przed samą sobą, tkwiła ona nienaruszona w jej sercu, jako najszczytniejsza prawda.

Jeżeli zatem już od chwili przybycia do zamku wydawała się wszystkim miłą i pociągającą, to teraz pod wpływem nieznanego dotąd uczucia oczarowała wszystkich jakimś nieprzepartym wdziękiem, czyniącym ją, jak to słusznie zauważyła Paula, podobną do rozkosznego i dobrego dziecięcia, które stara się przeniknąć myśli ludzi starszych od siebie po to tylko, aby je we wszystkiem uprzedzać.

Sama powierzchowność Edyty zyskiwała z każdym dniem na tej przemianie; posępny wyraz, czyniący ją niekiedy tak zagadkową, coraz rzadziej ukazywał się na jej pięknej twarzy, a pogardliwie ironiczny uśmiech nigdy już prawie nie krzywił jej świeżych usteczek.

Wydawała się teraz tak szczęśliwą. Ale za to w obejściu Pauli zaszła jakaś niemiła zmiana. Wprawdzie zachowywała ona jak dawniej swą jednostajną wesołość, można było jednak dostrzedz niekiedy w jej postępowaniu pewien przymus. Franciszek uwielbiał ją z otwartością, która miała w sobie coś wzruszającego; a ktokolwiek spojrzałby na tę parę młodych ludzi, kiedy trzymając się pod ręce wracali z wycieczki ku zamkowi, nie wątpiłby ani na chwilę, iż ma przed sobą dwoje szczęśliwych narzeczonych, w których już cała okolica widziała przyszłych właścicieli dóbr i zamku starego Hohenhofena.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SPIŻARNIA ŚWIATA.

Pieprz używany jako przyprawa kuchenna, przedstawia się nam w postaci okrągłych ziarnek, o powierzchni chropowatej i smaku ostrym, palącym, bez goryczy. Jest to owoc rośliny podzwrotnikowej; używany w całym świecie od niepamiętnych czasów, stanowi przyprawę zdrową i jest niemal współzawodnikiem soli. Sama nazwa wskazuje, że musiano pieprz otrzymywać za pośrednictwem Persów i Arabów, dopóki Portugalczycy a potem Holendrzy nie zaczęli go sprowadzać wprost z Indyi. Roślina ta pochodzi z południowej Azyi,

ale największe jej plantacye znajdują się na wyspach Zondzkich.

Pliniusz opowiada, że pieprz sprzedawano w Rzymie na wagę; kilogram czarnego pieprzu kosztował około 10 franków, białego 18 do 20 fr. W średnich wiekach funt pieprzu stanowił cenny podarunek, którym nie gardzili nawet monarchowie. Cesarz Henryk V (1104—1125), odnawiając przymierze z Padwą, Wenecyą i innemi miastami włoskiemi, wymawia sobie, żeby mu corocznie składano tytułem haraczu 50 funtów pieprzu. Rada miejska w Marsylii obowiązana była dawać rocznie klasztorom po funcie pieprzu. Prawo żeglugi na Rodanie i Renie każdy statek opłacał daniną funta pieprzu; tę samą opłatę pobierano od statków płynących z Zurychu do Bazylei.

Wysoka cena pieprzu była potężnym bodźcem dla kupców i żeglarzy do szukania tej kosztownej przyprawy w dalekich krajach Wschodu, zkąd przez Alep i Aleksandryą sprowadzano go do Europy. Był to interes przynoszący stokrotne zyski. Portugalczycy, którzy w ciągu XVI wieku mieli w swoim ręku monopol handlu korzeniami, przywozili pieprz z Kochinchiny i Achem, portu na wyspie Sumatrze, gdzie było główne ognisko handlu archipelagu Zondzkiego. Holendrzy poszli za ich przykładem, ale potem okręty ich zawijały wprost do wybrzeży, które dostarczały szacownej przyprawy. Z kolei i Anglicy wzięli się do tego handlu, główny jednak rynek pieprzowy zawsze stanowiła Holandya. Dziś Europa potrzebuje rocznie około 13,500,000 kilogr. pieprzu, a ceny jego wskutek zwiększonego dowozu stały się bardzo przystępne. Najpieprzniej jadają w Wielkiej Brytanii, gdzie na głowę przypada przecięciowo pół kilogramu rocznie.

Sumatra, półwysep Mallaka, Siam, Jawa i Borneo głównie dostarczają pieprzu całemu światu, w Ceylonie i w Malabarze uprawiają także tę roślinę, ale na mniejszą skalę.

Lękam się przepieprzyć tego artykułu, pomówmy więc teraz o — szparagach. W Brunświku, z powodu wielkiego urodzaju szparagów, dawano je bydłu na pokarm. Kto wie, że Brunświk jest głównem ogniskiem hodowli szparagów nietylko w Niemczech ale w całym świecie, nie ździwił się temu; od 1 Maja do 24 Czerwca szparag jest królem roślinnym tego państewka, o niczem innem tam wtedy nie mówią i niczem innem się nie zajmują tylko szparagami.

Nie ma jeszcze lat dwudziestu pięciu, jak w okolicach Brunświku zaczęto zakładać szparagarnie; grunt gliniasto-piaszczysty sprzyjał hodowli i dziś jest to śpiżarnia, która dostarcza całym Niemcom nietylko świeżych, ale rozsyła po świecie miliony konserw szparagowych. Niektóre sztuki dochodzą długości 25 centimetrów, mają grubość wielkiego palca, mimo to rozpuszczają się w ustach nie zostawiając włókien po sobie; pod względem smaku i aromatu nie mają sobie równych.

Szparagi wyrzynają się tam trzy do czterech razy dziennie, ale nikt nie czeka, żeby było widać główkę, która zaraz czerwienieje i twardnieje na powietrzu; robotnik zapuszcza nóż tam, gdzie jest małe wygórowanie w ziemi lub nieznaczna szczelina; ztamtąd wydobywa białe, miękkie szparagi, które następnie gatunkują się podług wielkości. Funt największych, przeznaczonych na konserwy, kosztuje od 55 do 75 fenygów, średni od 35 do 50, najmniejszy, z którego robią ulubioną zupę, od 15 do 25, a kilka lat temu kosztował tylko 5 fenygów. Szczęśliwi Brunświczanie!

O produkcyi tamtejszej najlepsze mogą dać pojęcie liczby: towarzystwo akcyjne, założone w r. 1869 i liczące 146 uczestników, samych producentów, sprzedaje codziennie przez Maj i Czerwiec 300 do 400 centnarów szparagów. Naokoło miasta znajduje się 2,400 morgów gruntu zajętego pod szparagarnie, a każda morga przynosi od 300 do 400 marek czystego zysku. Wskutek wielkiej obfitości i nizkiej ceny produktu, którego w stanie świeżym nie można przechować, rozwinęła się w Brun-

świku jeszcze jedna gałąź przemysłu: konserwowanie szparagów. Doszła ona do takiego stopnia doskonałości, że po dziesięciu latach szparagi wyjęte z blaszanych, szczelnie zalutowanych puszek, smakują tak samo jak świeże. W Brunświku znajdują się dwadzieścia trzy fabryki konserw; niektóre z nich są parowe. Robią tam konserwy nietylko ze szparagów, ale z zielonego groszku i fasoli. Puszki z konserwami idą głównie do krajów, gdzie hodowla tej delikatnej jarzyny, z powodu nieodpowiedniego klimatu, udać się nie może. Dania, Szwecya, Norwegia i Północna Ameryka, Egipt, Afryka, Indye, Południowa Ameryka i Australia są głównymi odbiorcami fabryk brunświckich.

Przez całą zimę przygotowują się puszki blaszane do konserw, ale z wiosną dopiero zaczyna się prawdziwa robota. Od rana zwożą do fabryk setki, tysiące worków i koszów z groszkiem i szparagami; piętrzą się ich całe góry, gdyż niejedna fabryka potrzebuje dziennie kilkaset centnarów tych jarzyn. Wszystko musi być tego samego dnia przerobione, bo inaczej straciłoby swoję wartość; żaden fabrykant, żaden robotnik nie udadzą się na spoczynek, dopóki ostatni szparag i ostatnie ziarnko groszku nie zostaną szczelnie w puszkach zalutowane. W większych fabrykach machiny skrobią szparagi i łuszczą groszek, w mniejszych dzieje się to za pomocą rąk; często można zobaczyć w olbrzymiej sali 700 kobiet, skrobiących szparagi lub łuszczących groszek. Naprzód jarzyny płuczą się w letniej wodzie, a następnie gotują się w kotłach. W jednych fabrykach odbywa się gotowanie na ogniu, w innych na parze; za otwarciem rury para wpada do kotła i w pięć minut jarzyny są już ugotowane; na ogniu potrzeba do tego dwóch godzin.

Po ugotowaniu napełniają się puszki blaszane szparagami lub groszkiem, zalewają gorącą wodą i lutują szczelnie; potem wstawiają się w kocieł i gotują znowu. Jak długo trwa ta operacya i w jakiej temperaturze, to już jest tajemnicą fabrykantów; dodamy tylko, że od tego głównie zależy dobroć produktu. Puszki stygną na kamiennej podłodze, a potem idą do składu. Są fabryki, które sprzedają rocznie od miliona do dwóch milionów puszek z konserwami; dopiero ten kto je widzi ustawione razem w składzie, może mieć wyobrażenie, co to jest milion.

Szparagi u nas należą do delikatesów i uważane są za taki przysmak, jak np. gwiazdy morskie lub gniazda jaskółcze u Chińczyków. Już to przyznać trzeba, że pod względem gastronomicznym mieszkańcy państwa niebieskiego mają wręcz odrębne gusta niż Europejczycy; podniebienie Lukullusa chińskiego łechce najmilej szynka z psa, tuczonego umyślnie na kuchnią, jaja zalęgnięte, młode łodygi bambusu, potrawka z rekina lub szczury pieczone. Co się tyczy szczurów, oblężeni Paryżanie, przyciśnięci głodem, musieli raczyć się nimi w r. 1870—71, mimo to potrawa ta nie stała się popularną i stanowi, jak dawniej, główną potrawę kocich bankietów. Uprzedzenie może niesłuszne, ale nic trudniejszego jak walczyć przeciw uprzedzeniu; za to konina, którą się dotąd także brzydzimy, ma coraz większe powodzenie w Paryżu.

Pierwsze jatki z mięsem końskiem zostały tam założone w r. 1866; w roku 1874 było 48 jatek, dziś jest 180. Odpowiednio do tego zwiększyła się sprzedaż końskiego mięsa: w r. 1866 poszło na rzeź tylko 902 koni, w 1869 zabito ich 2,730, w 1872 przeszło 5,000, w 1877 dwa razy tyle, a w 1890 około 20,000. Nie wspominamy o wyjątkowym roku 1870—71, w którym podczas oblężenia i komuny zjedzono 65 tysięcy koni. Obecnie konina stanowi w Paryżu 5 proc. ogólnej konsumcyi mięsa. Cena jej jest o połowę niższa od cen wołowiny: funt polędwicy końskiej kosztuje od 1 franka 10 centów do 1 fr. 25 centów. Każdy koń dostarcza przecięciowo 250 kilogr. mięsa. Osły i muły są smaczniejsze, a tem samem nieco droższe. Policya pilnuje, ażeby zwierzęta przeznaczone na rzeź

były zdrowe i niezbyt stare. Utrzymują (myśmy nie próbowali jeszcze), że mięso z młodego i dobrze podkarmionego konia jest nietylko równie zdrowe i pożywne jak wołowina, ale nawet od niej delikatniejsze. (Dokończenie nastąpi).

Kalwarya w Niem. Piekarach na Górnym Ślązku.

Ubiegłą Niedzielę poświęcił książę-biskup wrocławski, ks. kardynał Kopp, nową Kalwaryą w Niemieckich Piekarach, której budowy w zeszłym roku dokończył zmarły proboszcz parafii piekarskiej, ś. p. ks. kanonik Nerlich.

Dzień poświęcenia tego przybytku chwały Bożej zanadto jest ważny, budzi zbyt wiele rzewnych wspomnień z ubiegłych czasów, ażebyśmy nie mieli bliżej przypatrzeć się Kalwaryi, jako budowie i jako historycznej pamiątce.

Miejscowość, mieszcząc w sobie najdroższą dla Górnego Ślązka pamiątkę religijną, leży w pobliżu Bytomia. Bytom słynął w połowie wieków średnich ze swego bogactwa w złocie i srebrze, które wydobywano z ziemi, i przyciągnął zewsząd mnóstwo robotników, którzy tworzyli naokół niego oddzielne osady. Podanie mówi, że tam gdzie dziś leżą Piekary, sprowadziło się dużo piekarzy Niemców, ażeby górników zaopatrywać w pieczywo i od nich to otrzymała osada nazwę Niemieckich Piekar. Ile w tem historycznej prawdy, nie wiadomo, albowiem dokumenta wszelkie z tych czasów zaginęły.



Obraz Matki Boskiej
w Piekarach na G.-Ś.

W roku 1308 poświęcony został w Piekarach kościółek drewniany na cześć św. Bartłomieja, w którym znajdował się dziwnie piękny, na drzewie malowany obraz Matki Boskiej. Wierni Polacy często z skutkiem zanosili swe modły przed tron Matki Bożej, tak że obraz w krótkim czasie zasłynął ze swych cudów. Sławę prawdziwie cudownego obrazu uzyskał jednak dopiero w roku 1675, kiedy to w miejscowości Tarnowskie Góry powstała choroba, która szerzyła się jak zaraza. Lud tarnogórski urządził tedy pielgrzymkę do obrazu Matki Boskiej Piekarskiej i w błagalnych modlitwach uprosił za wstawieniem się Bogarodzicielki odwrócenie zarazy. W pięć lat później wybuchła zaraza w Pradze i cesarz Leopold I, który to polskiego króla Sobieskiego wezwał do pomocy dla obrony Wiednia przed Turkiem, uprosił sobie obraz na pewien czas, ażeby za wstawieniem się Matki Bożej wymodlić również odwrócenie zarazy. Świadectwa solennych nabożeństw, procesyi, licznych uzdrowień i obdarowania obrazu wotami świadczą najlepiej, jak cudownym okazał się obraz.

Tu przed tym obrazem wielki polski król, Jan Sobieski, modlił się w pokorze ducha, wstąpiwszy do Piekar w drodze do oblężonego przez Turków Wiednia, błagając Przeczystą Dziewicę o pomyślność dla swego oręża, tu książę saski, August II, przyjął wiarę katolicką, chcąc zostać królem polskim.

W roku 1702 przeniesiono obraz do kościoła OO. Jezuitów w Opolu, w obawie, ażeby Szwedzi, którzy z swym królem Karólem XII na czele wpadli do Polski, nie zniszczyli go. Ztamtąd, jak pisze założyciel Kalwaryi, ks. Nerlich w dziełku swem, Kalwaryi dotyczącem, nie powrócił więcej do Piekar. Obecnie znajduje się w kościele parafialnym w Opolu, w Piekarach zaś pozostała tylko kopia. Obraz właściwy Piekar co prawda nie zobaczył, ale lud pobożny nie zamienił pielgrzymek na Opole. W Piekarach doznawał przez tak długie wieki dobrodziejstw od Matki Najświętszej, Piekar też nie opuścił, mimo, że widzialny znak jego westchnień i modłów przeniesiony został.

W roku 1826 zamianowany został proboszczem piekarskim niezapomnianej pamięci u ludu polskiego ks. kanonik Ficek. Kapłan ten, mimo, że dziesiątki lat upłynęły od śmierci jego, żyje dotąd w jak najwdzięczniejszem wspomnieniu u ludu polskiego na Górnym Ślązku. On to duszę i całą swą istotę poświęcił dla tego ludu, z którego pochodził. Hasłem, że się tak wyrazimy, stały się dla Górnoślązaka słowa jego: że póty na Ślązku katolickiej wiary, póki języka polskiego.

Wdzięczny polski lud mimo, że wtedy nie odczuwał jeszcze ogólnie samowiedzy

poczucia swego narodowego, uczuł instynktownie ojcowskie przywiązanie do siebie pasterza z Niemieckich Piekar i Pan Bóg w niebie najlepiej wie, z ilu tysięcy ust płyną modlitwy za duszę tego kapłana przed tron Jego.

łożył na wybudowanie świątyni nowej i tak rozrzewniającą pokazał ofiarność, że ówczesny wrocławski wielki biskup ks. kardynał Diepenbrock powiedział w roku 1849, gdy ten kościół poświęcał: palec u ręki dałbym uciąć



Kościół parafialny w Piekarach na Górnym Śląsku.

Ten oto ksiądz Ficek, widząc coraz to więcej napływające tysiące pobożnego ludu do pamiętnego głośnymi cudami miejsca, rozpoczął w roku 1842 budowę wspaniałego murowanego kościoła z dalekowidnemi wieżami. Na głos swego pasterza lud polski co mógł,

sobie, gdybym do tego ludu w ojczystym mógł przemówić języku.

W pobliżu kościoła znajdował się na miejscu, gdzie dziś stoi Kalwarya, górzysty, skalisty pagórek. Stary kościół św. Bartłomieja miano tu budować, ale drzewo tu do

budowy nagromadzone, znalazło się pewnego poranku w zupełnie innem miejscu, w środku wsi i to już ociosane. Mieszkańcy upatrywali w tem wskazówkę, daną z niebios i miejsce pustem pozostawili. W roku 1663 widział proboszcz Roczkowski wraz z prebendarzem Wiercioskiewiczem kilkakrotnie dwa światła, jak gdyby dwie świece, podnoszące się z tego pagórka nazwanego Cerekwicą i płynące ku kościołowi, a potem się znowu cofające ku pagórkowi. Zjawisko to powtarzało się nawet podczas pory deszczowej przez przeszło godzinę.

Otóż na tem miejscu postanowił w roku 1870 ks. Purkop, następca ks. kanonika Ficka, pobudować obszerną »Drogę Krzyżową« z kaplicami, przedstawiającemi stacye męki Pańskiej. Skończyło się jednakowoż jedynie na pobudowaniu kilku pojedyńczych kaplic i pozasadzaniu na wzgórzu drzewek. Dalsze prace wstrzymano z powodu stósunków, wywołanych walką państwa z Kościołem, czyli tam zwanym kulturkampfem. Dopiero w roku 1887 ks. kanonik Nerlich zabrał się gorliwie do dzieła, zbierał w niestrudzony sposób datki, zakupił jeszcze 10 mórg gruntu i na przestrzeni 38 mórg postanowił wybudować Kalwaryą na podobę Kalwaryi jerozolimskiej. Dopomagał mu w tem, ożywiony równym jak on zapałem, Franciszkanin, O. Władysław Sznejder, który jako misyonarz przebywał kilka lat w Ziemi świętej i ztamtąd przywiózł dokładną znajomość wszystkiego, co miało jakąkolwiek styczność z życiem Chrystusa Pana.

Dnia 7-go Sierpnia 1887 podłożono wśród uroczystej procesyi kamień węgielny pod budowę Kalwaryi. Z głównych drzwi kościoła wychodzi się na tak zwany rajski dwór, który mieści w sobie rzadkiej piękności stacye Drogi Krzyżowej i nowowybudowaną kaplicę archanioła Rafała. Kaplice jako i Droga Krzyżowa budowane są w stylu gotyckim. Tu też znajduje się wysunięta ku publicznej drodze ambona, stawiająca z powodu wysokiego położenia kaznodzieję wysoko ponad drugich i czyniącego go w ten sposób zrozumialszym dla pielgrzymów.

Całość urządzenia Kalwaryi starano się z największą troskliwością uczynić zupełnie podobną do miejsc świętych w Jerozolimie. Wszelkie drogi, skały, pagórki i t. d. są tak zbudowane, że kto na nie patrzy, ten może sumiennie powiedzieć, iż cała Kalwarya w Jerozolimie wygląda tak samo. Kalwarya zawiera w sobie w całości 40 kaplic i miejsc świętych, budowanych w stylu gotyckim, rzymskim i bizantyńskim czyli wschodnim; wszystko budowane jest z surowej cegły z ozdobami z piaskowca. Wszelkie figury i wyobrażenia wykonane są nadzwyczaj doskonale, ze wszystkiego tchnie prawdziwe życie. Wymienimy na tem miejscu pojedyńcze kaplice, z których składa się Kalwarya: Rajski Dwór, który ze trzech stron osłonięty, mieści obok rzadkiej piękności stacyi Drogi Krzyżowej nowo wybudowaną kaplicę Rafała. Kościół święty czci tego świętego archanioła jako opiekuna pobożnych pielgrzymek i w szczególnych modlitwach poleca pątników jego wstawiennictwu. Wychodząc szeroką bramą z Rajskiego Dworu, przychodzi się przez środek cmentarza do głównego wejścia na Kalwaryą świętą. Ztamtąd drogą, drzewami z obu stron wysadzoną do kaplicy Ostatniej Wieczerzy i ogrodu getsemańskiego, wznoszącego się u podnóża góry Oliwnej. Góra Oliwna i przyległy pagórek jako i tuż obok znajdująca się Dolina Józefata wraz z rzeką Cedron, której łożysko tylko w czasach deszczów zapełnia się wodą, są dziełem mozolnej pracy górników i robotnic sztucznie częścią wykute, częścią wysypane. Tuż znajdują się figury trzech śpiących uczni Piotra, Jana i Jakóba, a nieco w oddaleniu kamienna grota w Górze Oliwnej, gdzie to Boski Zbawiciel pocił się krwawym potem, modląc się przed swem pojmaniem do Ojca niebieskiego. Od mostu Cedronu idąc drogą na lewo dalej, przyjdzie się do kaplicy Annasza, następnie do kaplicy Kajfasza i sali sądowej, złożonej z figur najwyższego arcykapłana i dwóch Starszych żydowskiej wysokiej rady, i figury Zbawiciela z łagodnym, szlachetnym wyrazem twarzy, przyjmującego z Boskim spokojem wyrok śmierci. Ze sali sądowej prowadzą schody do ciemnego podziemnego więzienia, w którem piękna figura z białego kamienia przypomina Zbawiciela. Ztamtąd ku zachodowi przyjdzie się ku wschodniej bramie Jeruzalem, którą przechodził Jezus często, gdy szedł do Betanii, poza Górą Oliwną położonej, albo ztamtąd do Jeruzalem przybywał. Nieco dalej znajduje się kaplica Piłata. Wewnątrz kaplicy mieści się piękna grupa z białego kamienia »Chrystus przed Piłatem«. Zbliżając się ku północnemu brzegowi. ujrzy się przed sobą wspaniały pałac Heroda. Obok grupy figur, przedstawiających Heroda, siedzącego na tronie, i Jezusa, wyszydzanego przez tegoż, znajdują się jeszcze dwa podziemne sklepienia, w których mieszczą się przedstawienia: ścięcie św. Jana Chrzciciela i uwolnienie św. Piotra z więzienia przez anioła. W środku przedniej ściany zaś, również w kamiennej rzeźbie przedstawiony jest chrzest Chrystusa. Obok kaplicy Piłata mieści się naśladowanie świętych 28 schodów marmurowych, przez które wleczono Jezusa po biczowaniu. Schody te, które przyjęły w siebie niejedną kroplę Jego Krwi, znajdują się obecnie w Rzymie. W niektórych z tych stopni są umieszczone za szkłem relikwie ze Ziemi świętej. W górnej części kaplicy znajdują się figury, przedstawiające biczowanie i koronowanie Chrystusa

cierniem. Wychodząc z kaplicy Piłata, widzi się na tarasie w łuku nad drzwiami figury, przedstawiające scenę: oto człowiek. Potem następuje 14 stacyi Drogi Krzyżowej. W końcu zwiedzić należy piękny Kościół Zmartwychwstania i w pobliżu niego się znajdującą kaplicę św. Heleny.

Tak oto w ogólnych zarysach przedstawiałaby się Kalwarya Piekarska, którą w ubiegłą Niedzielę wśród tysięcy zgromadzonego ludu polskiego poświęcił ks. kardynał. W przemowie swej zaznaczył, że wspaniała ta pamiątka stanęła ofiarnością ludu ślązkiego. Tak jest! 700 tysięcy marek według świadectwa wiarogodnych osób złożył lud polski na Górnym Ślązku na wybudowanie Kalwaryi. Ofiarność tę sławią kapłani, sławić muszą nawet nieprzyjaciele ludu, jego obyczai i zwyczai a szczególnie języka. Niech się przekonają, jak głęboka religijność tkwi w tym ludzie biednym co prawda, ale przywiązanym do wiary ojców swych. Niechaj pamiętają wrogowie i nieprzyjaciele tego ludu, że on jest polskim, bo jako polski lud jest tak religijny, daje tak rozrzewniające dowody ofiarności na cele religijne. Niechaj pamiętają na słowa ks. Ficka: Póty wiary katolickiej na Górnym Ślązku, póki języka polskiego.

Choćby nie inne wspaniałe kościoły i pomniki pobożności ludu polskiego, to Kalwarya w Niemieckich Piekarach świadczyć będzie o tem, że zbudował ją lud polski, który mówi i czuje po polsku i pragnie w niej Stwórcę Swego ojczystym językiem chwalić i sławić.

MODLITWA.

Matko przeczysta! pieją Ci anieli,
W śnieżystych szatach, uwielbienia chór;
Lecz żaden anioł nie śnieżny w swej bieli
Jak Ty, wybrana lilio z ziemskich cór!

Wszystko Ci znane, wszystko co człowiecze:
Rozkosze matki — ach, i ziemskie razy!
Radość i smutek i boleści miecze,
Wszystko co ludzkie — okrom jednej zmazy.

Matko Miłości! skrzepienia uśmiechem
Podnieś Ty słabych a walczących z grzechem;
Gdyśmy w pokusach, błagaj Ojca o to,
Niech nas upadku nie kaźni sromotą.

Matko przeczysta! o prowadź nas dzieci,
Nas dzieci ziemi ułomne do Syna;
Tam bez czystości nic się, nic nie świeci,
Bez niej, ach wiemy, wszystko proch i glina!

A jako ostać się przed sądem Pana,
Gdy dusza nasza grzechami zmazana?
Matko przeczysta! módl się, niechaj łzami
Pokuty zmyjem to, co tu się splami.

A gdy u ziemskiej naszej staniem drogi,
Orędowniczko konających święta!
Ufnością w Pana śmierci rozpędź trwogi,
Lekko nam z duszy zdejm cielesne pęta.

MAŁPY.

(Ciąg dalszy.)

Gdy mu się już kilka razy nie udało dostać się do uciekającej tym sposobem pomarańczy, wtedy zmienił plan postępowania; udając, że go owoc wcale nie obchodzi, oddalił się nieco i wspiął się po linach do góry, ale ztamtąd nagłym rzutem ciała usiłował pochwycić sznurek. Uprzedziłem go i szybko wyciągnąłem sznurek do góry; wtedy wpadł w prawdziwą rozpacz i latał po linach z głośnym wrzaskiem; powrócił jednak i usiłował przytrzymać sznurek, pomimo targania przepuszczając go przez swoją rękę, aby się dostać do pomarańczy; gdy i to mu się nie udało, przystąpił do mnie, przytrzymał mię za ręce i sam przyciągnął sobie sznurek z pomarańczą.

»Nasz orangutan nie lubił wykrzywiań się i skoków innych małp i nie robił szkód tak jak one. Był zawsze poważny, melancholijny i smutny, co się wyraźnie na jego twarzy malowało; zdaje się to być cechą przyrodzonego jego charakteru. Skoro po raz pierwszy znajdował się w towarzystwie obcych osób, przesiadywał całemi godzinami z głową opartą na ręku i w milczeniu przypatrywał się otaczającym, albo sta-

rał się ukryć pod znajdującą się w pobliżu kołdrą czy serwetą, kiedy mu ciekawość obcych osób zaczęła być natrętną. Łagodność jego okazywała się przez to, że długo znosił wyrządzone sobie przykrości, zanim się wreszcie rozgniewał; zwykle stale unikał osób lubiących go drażnić, a przeciwnie, bardzo był przywiązany do takich, które przyjaźnie z nim się obchodziły; chętnie obok nich siadywał, przytulając się do nich jak mógł najbliżej, ręce ich wkładał sobie pomiędzy wargi i szukał u nich obrony. Zawsze łaził za mną do kosza masztowego, gdziem często przebywał, aby zdala od hałasu okrętowego czytać w spokoju; przekonawszy się, że w moich kieszeniach nie było nic do jedzenia, układał się koło mnie, okrywał się żaglowem płótnem i śledził moje poruszenia. Na Jawie najmilszą jego zabawą było przeskakiwać z drzewa na drzewo po gałęziach, albo łazić po dachach domów; na okręcie, kołysać się na linach, albo mocować się z chłopcami okrętowemi. Zaczepiał ich sam, udzielając przechodzącym obfite szturchańce i uciekając niby ze strachu; ale prędko dawał się doścignąć i ochoczo stawał do walki, w której używał wszystkich czterech rąk i zębów.

»Chociaż nasz orangutan był bardzo łagodny, to jednak nieoględnie drażniony, wpadał we wściekłość nie do opisania; złość swoją okazywał szczerzeniem zębów, osoby zaś znajdujące się w pobliżu chwytał, przytrzymywał i kąsał. Kilka razy zdawał się wpadać w rozpacz i w tym stanie posuwał się do takich czynności, które w istotach obdarzonych rozumem, należałoby poczytywać za zamachy samobójcze. Gdy mu nie dano pomarańczy, której żądał, zaczął wydawać dzikie wrzaski i latać jak wściekły po linach; potem powrócił i znowu domagał się pomarańczy; gdy mu jej i tym razem odmówiono, zaczął się tarzać po pokładzie jak małe dziecko w przystępie złości, nagle wydał przeraźliwy wrzask i jak szalony skoczył przez burtę okrętu. Widząc to po raz pierwszy, wszyscy sądziliśmy, że wskoczył do morza, lecz później przekonaliśmy się, że się uczepił lin na zewnętrznej stronie okrętu, po których wdrapał się znowu na okręt.

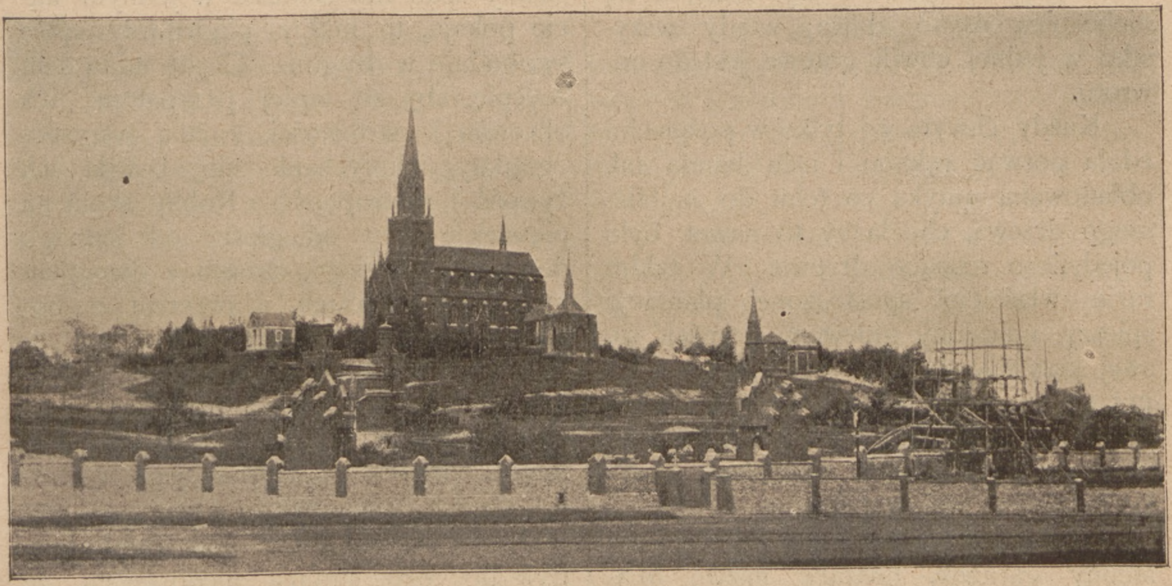
»W dwóch tylko razach widziałem go pod wpływem wielkiej trwogi. Na wysokości wyspy Wniebowstąpienia złowiono w morzu i wyciągnięto na pokład ośm wielkich żółwi; gdy je orangutan zobaczył, wdrapał się spiesznie jak mógł tylko na maszt, i ztamtąd spoglądał na nieznane sobie potwory; wydął wargi, przedłużając je w postaci świńskiego ryja i wydał głos, mający podobieństwo do rechotania żaby i do krząkania świni. Po niejakim czasie odważył się nareszcie z wielką ostrożnością zejść na dół, nie spuszczając jednak oka z żółwi, lecz nie dał się nakłonić do zbliżenia się do nich. Po przybyciu do Anglii okazał taki sam przestrach na widok żywego lądowego żółwia. W innej znowu okoliczności wdrapał się na wysoki słup i wydawał też same niezwykłe dźwięki, gdy ujrzał kilka osób kąpiących się w morzu.«

* * *

Przejście do małp nie człekokształtnych, stanowią mieszkające w Indyach wschodnich i na wyspach indyjskich małpy długorękie (hylobates), których przedstawicielami są: szybki G i b b o n, U n g k o. Małpy te również nie mają ogonów, ale na pośladkach n a g n i o t k i, czyli stwardniałe nagie części skóry. Nazwę swą otrzymały od niesłychanie długich rąk. Bliskie z niemi powinowactwo tworzą przejściowe gatunki do drugiego wielkiego działu małpiego rodzaju.

Dział ten objęty jest ogólną nazwą k o t o w c ó w, po niemiecku »kotów morskich«. Małpy do tego działu należące zamieszkują gorące strefy Afryki; są to bardzo żywe i zwinne zwierzęta. Z jedynym wyjątkiem Magota, mieszkającego w północnej Afryce i w niewielkiej liczbie ne skale Gibraltaru, zwanego także małpą turecką, który wcale ogona nie posiada, wszystkie one są przedstawicielami małp długoogonowych starego lą-

du; budowę ciała mają wysmukłą, takież członki, zgrabne ręce z długim paluchem i duże nagniotki na pośladkach; prócz tego posiadają jeszcze obszerne torby na policzkach, które im na wolności wielkie oddają usługi, gdyż unoszą w nich zrabowane w polu i w ogrodach plony. Żadna inna część świata nie roi się tak od tych małp, jak zachodnie wybrzeża Afryki, gdzie mieszka przeszło dwadzieścia ich gatunków, trzymających się w wielkich gromadach. Jobson utrzymuje, że nad brzegami Gambii trzody, liczące po trzy tysiące i więcej kotowców nie są wcale rzadkością. nie mającego w tem żadnego interesu widza, taka wyprawa gromady małp po zdobycz może się przedstawiać jako bardzo niezwykły, wesoły i zajmujący widok, to jednak dla właściciela pola jest ona źródłem wielkiego zmartwienia i nie wiele może ona temu zaradzić. Już samo zbliżanie się napastniczej bandy świadczy o zmyślności i przebiegłości tych zwierząt. Najdoświadczeńsza z całego pokolenia małpa idzie po przodzie, a za nią dążą inne, nie tylko po tych samych drzewach, lecz nawet po tychże samych gałęziach. Od czasu do czasu wysyłana na czaty małpa rozgląda się



Kalwarya w Piekarach na Górnym Ślązku.

W czasie podróży swojej w górę Gambii, szczególnie był zadziwiony mnóstwem tych małp, obsiadujących nadbrzeżne drzewa i wstrząsaniem gałęzi oraz nieustannym krzykiem usiłujących powstrzymać podróżnych od posuwania się naprzód. Atkins powiada, że na wybrzeżu Sierra Leone małp tych takie jest mnóstwo, że mieszkańcy muszą odbywać ciągłą wartę i używać broni palnej, trucizny i innych środków dla zabezpieczenia pól swoich obsianych prosem i innemi roślinami miejscowej kultury od spustoszeń zrządzonych przez tych nieproszonych gości. Jakkolwiek dla postronnego, po okolicy z najwyższego szczytu drzewa i dopiero gdy nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, wtedy z najbliższego drzewa następuje napad na przeznaczoną na spustoszenie plantacyę. Pałki kukurydzy, krze durry (egipskiego prosa) wyrywane są z niesłychaną szybkością, a po wyłuskaniu ziarna takowe pakuje się do torebek policzkowych. Wszystko odbywa się prędko, jakby ukradkiem, jak gdyby w poczuciu, że za te spustoszenia nie minie zasłużona kara; ale nie, wszystko spokojnie do koła, żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Rabunek zatem prowadzi się dalej, ale nie z takim

już pośpiechem, lecz przeciwnie, z rozwagą i systematycznie; samice, które dotychczas potomstwo swoje trzymały w objęciach, puszczają je i pozwalają mu poigrać, nie spuszczając jednak z dzieci troskliwego oka. Każda pałka kukurydzy po wyrwaniu bywa obwąchana, nieledwie każde ziarnko podlega zbadaniu, coś tam zostanie pożartem, reszta zaś niedbale precz odrzucona. Dziesięć, dwadzieścia, lub nawet więcej pałek kukurydzy zostaje tym sposobem w jednej chwili zniszczonych i można sobie wyobrazić rozmiary spustoszenia sprawionego przez setki takich rabusiów. Lecz przywódzca ich wśród tego zgiełku sam jeden czuwa i daje znak, że się niebezpieczeństwo zbliża; wtedy wszystko w jednej chwili gotowe jest do odwrotu.

Każdy chwyta co tylko w pośpiechu zdoła porwać rękami i cała banda tak obładowana umyka co tchu do najbliższego drzewa, chociażby to nawet było pojedyńczo rosnące drzewo. W takim razie właściciel spustoszonej plantacyi spieszy, uniesiony gniewem, pomścić się swej krzywdy na sprawcach złego i to mu się niekiedy udaje; lecz gdy banda dopadnie lasu, wtenczas wszelki pościg jest daremny i banda w spokoju raczy się owocem swej wyprawy.

Od kotowców znacznie się różni następny gatunek, noszący nazwę Makako; więcej on jest zbliżony do trzeciej wielkiej grupy małp. Zamieszkuje południowo-wschodnią Azyę.

Jeden z przedstawicieli tego gatunku odbiera nawet cześć od Indusów. W niektórych miejscowościach ustanowione są stałe dochody na utrzymanie całych gromad tych małp; dochody te są pod zarządem fakirów i żebrzących kapłanów, utrzymujących siebie i małpy kosztem dobroczynności publicznej.

Johnson stwierdza ten fakt w opisie swoich przygód myśliwskich i powiada: »W Bindrabun, miejscowości niedaleko położonej od świętego miasta Muttra, znajduje się przeszło sto ogrodów, zasadzanych i obsiewanych rozmaitemi roślinami, a przeznaczonych wyłącznie na żywienie tych małp; ogrody te są utrzymane w dobrym stanie z funduszów legowanych przez zamożnych mieszkańców. Dokoła tej miejscowości znajdują się tysiące małp; są to małe, brunatne małpy, zdaniem mojem, najzmyślniejsze ze wszystkich i te zwykle kuglarze z sobą oprowądzają, wyłudzając pieniądze za ich pokazywanie. Zamieszkiwałem raz przez cały miesiąc w tem mieście, w domu położonym nad brzegiem rzeki i należącym do bogatego krajowca. Dom ten nie posiadał drzwi, małpy zaś często właziły do pokoju w którym przebywaliśmy i chwytały ze stołu chleb oraz inne resztki pozostałe od śniadania. Jeśliśmy spali lub siedzieli w jednym kącie pokoju, to małpy plądrowały sobie swobodnie w drugim. Często udawałem że śpię, aby się lepiej przypatrzeć ich obrotom i ostróżności, z jaką wszystko oglądały; niesłychanie mię bawiła ich żywość i roztropność. Robiły skoki na piętnaście stóp odległości od jednego domu do drugiego, czasem z dwojgiem małych w objęciach, a przytem z bochenkiem chleba, trochę cukru lub innych spożywczych przedmiotów. Pieczołowitość, jaką samice otaczają potomstwo, mogłaby służyć za wzór niejednej matce. Podczas pobytu mojego w Muttra, dwóch oficerów z garnizonu wybrało się na polowanie pod Bindrabun. Byli do tego stopnia niedorzeczni, że dali ognia do małpy, co hindusów i fakirów doprowadziło do takiej wściekłości, że tłumnie napadli na oficerów, ciskając w nich i w słonia, na którym jechali, kamieniami i zapędzili ich tak aż do rzeki, w której obaj oficerowie wraz z przewodnikiem utonęli; jeden słoń tylko wyratował się i wydostał się na brzeg w pewnem oddaleniu poniżej miasta. Ponieważ wiadomo, że hindusi otaczają te małpy czcią prawie religijną, przeto zwierzęta te nie powinny nigdy doznawać krzywdy od Europejczyków. Pewna wysoko położona osobistość, na której rzetelności i prawdomówności śmiało mogę polegać, opowiadała mi, że w okręgu Cooh Bahar znajduje się dość znaczna przestrzeń ziemi, uważana

przez krajowców jako rzeczywista własność małp, zamieszkujących okoliczne wzgórza; skoro krajowcy zbiorą plony na gruntach tej małpiej własności, zostawiają dziesiątą część sprzętu na użytek małp, jako uświęconą zwyczajem, chociaż nie prawem kościelnem, dziesięcinę. Małpy bardzo są zadowolone z tego haraczu w naturze i zaraz po sprzęcie przybywają tłumnie z gór dla zabrania przypadającej dla nich części, którą unoszą z sobą i chowają po rozpadlinach skał i pieczarach, aby zapasy swoje uchronić od zniszczenia przez szkodniki. Żywią się przeważnie temi zapasami, a krajowcy najmocniej są przekonani, że gdyby nie zostawili małpom należnej im części plonów, wtedy na rok następny nie dałyby dojrzeć ani jednemu kłosowi na polu, ale zniszczyłyby cały zasiew jeszcze w zielonym stanie.«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIE MOGLI ICH ROZŁĄCZYĆ.

Nello i Patrasche połączeni byli z sobą przyjaźnią głębszą niż bywa przyjaźń dwóch braci. Nello to mały trydeńczyk, Patrasche to flamandczyk. Wiek ich jest jednakowy, niemniej Patrascha starcem nazwać można, kiedy Nello to dziecko jeszcze.

Sieroty; jedna ręka zachowała im życie, ta zapewne okoliczność zbliżyła ich do siebie, a znajomość zamieniła się wkrótce w głęboką przyjaźń. Uboga chata, na końcu wsi stojąca, służyła im za mieszkanie. Pola, łąki kwieciste, kanał przecinający wioskę i wieniec róż rozłożystych, otaczały samotną lepiankę.

Wieś, o milę od Anvers położona, miała około dwudziestu domów z okiennicami zielonemi lub błękitnemi, z dachami czarnemi a ścianami białemi jak śnieg. W pośrodku wsi na małem wzgórzu stał młyn — obserwatoryum, można powiedzieć, dla okolicznych mieszkańców. Niegdyś pomalowany był farbą szkarłatną, lecz kolor ten odnosi się do czasów, kiedy młyn robił mąkę dla żołnierzy Napoleona; czas nadał mu barwę czerwono-brunatną. Koła jego obracają się w sposób niezwykły, jak gdyby starość ich pokurczyła ich członki; a jednak ciągle obsługuje swych sąsiadów, którzy uważaliby sobie za grzech śmiertelny wieźć zboże do młyna miejskiego, jak uważają za grzech niebywanie na Mszy świętej w starym kościółku, stojącym naprzeciwko młyna.

Kościółek zbudowany jest z szarego kamienia; jedyny dzwon odzywa się rano, w południe i wieczór z tym dziwnym jękiem przeciągłym, który charakteryzuje melodye wszystkich dzwonów w tej nizinie.

Z tym melancholicznym odgłosem zrośli się Nello i Patrasche, zamieszkując lepiankę, zadowoleni z siebie i życia. Była to posiadłość starego, bardzo biednego człowieka, Jana Daas, niegdyś żołnierza. Daas pamiętał wojny, które niszczyły kraj, jak zgłodniała tłuszcza dzikich zwierząt. Służył wiernie, a w nagrodę otrzymał rany i wieczne kalectwo. Miał lat około ośmdziesięciu, gdy mu córka umarła, zostawiając jedynego syna. Wziął ten nowy ciężar z pogodnem obliczem; wkrótce ów ciężar stał mu się drogim.

W swej lepiance chruścianej, czystej, otoczonej ogrodami, żył dziadek ze swym wnukiem szczęśliwy. Często brakowało im chleba, a nigdy nie mieli go dosyć, starzec jednak był dobry i słodki dla dziecka, a ono zadowalniało się nieraz skórką chleba, kilkoma ziarnami kaszy. Patrasche dla starca był alfą i omegą, jedynym skarbem, pocieszycielem, życiem. Ze śmiercią Patrascha nie pozostawałoby mu nic, tylko umrzeć, bo pan Daas był niedołężnym starcem, Nello dzieckiem, a Patrasche jego psem — psem flamandzkim, żółtym, z członkami rozrosłemi, z silną głową o wil-

czych uszach, z muskularnemi łapami, zaopatrzonemi w ostre pazury, słowem był doskonałym typem rasy psów roboczych.

Przodkowie Patrascha, z pokolenia na pokolenie, byli niewolnikami przeznaczonymi całe swe życie ciągnąć wózek. Widziano ojca jego i matkę spieszących z ciężarem po wszystkich drogach flamandzkich. On sam nie zaznał nic innego prócz znoju; żywiono go obelgami i bolesnemi razami. Dlaczego? Flandrya jest krajem chrześciańskim, lecz Patrasche był tylko — psem. Zaledwie wyszedł z dzieciństwa zapoznał się niezwłocznie z łańcuchem i ciężarem wózka. Zaprzągnięto go w trzecim miesiącu życia, to jest wtedy, gdy go sprzedano za liche pieniądze handlarzowi jeżdżącemu z północy na południe, od błękitnego morza do zielonych pagórków. Handlarz ten był opilcem i brutalem; okrutny Brabasson naładowywał na wózeczek, wiele się tylko zmieściło porcelany, miedzi i blachy, kazał Patraschowi dźwigać to wszystko a sam ograniczył się na nieustannem paleniu fajki.

Na szczęście lub nieszczęście swoje Patrasche był silnym; pochodził bowiem z rasy od dawna przeznaczonej do tej posługi, do rasy nieupadającej z gorąca ani głodu, z pragnienia ani wycieńczenia — nieupadającej pod razami batów i kijów, któremi flamandczycy obdarzają swych najwierniejszych i najpracowitszych robotników. Od dwóch lat przebiegał Patrasche piaszczystą i niewygodną drogę, wiodącą do miasta Rubensa. Wózek był bardzo ciężki lecz handlarz zważał na to chyba wtedy, gdy wypadało uderzyć Patrascha; Brabasson pił we wszystkich karczmach przydrożnych, lecz niewolnikowi nie wolno było przystanąć dla wytchnienia.

Oślepiony słońcem i kurzem, osłabły i zbity, nie jedząc od dwudziestu czterech godzin, a co gorsza nie pijąc nic od godzin dwunastu, pies poraz pierwszy zachwiał się i upadł. Upadł na środku drogi, pod promieniami palącego słońca... Pan jego zaordynował jedyne lekarstwo, jakie posiadał w swej lecznicy, to jest silne kopnięcie nogą i baty, z towarzyszeniem najstraszliwszych wymysłów. Biedne zwierzę przestało być posłuszne — zrywało się jeszcze, lecz daremnie; bezskuteczne były wszelkie szamotania się w rozpalonym piasku. Po upływie kilku minut, widząc że najdzielniej wymierzone baty nie przyprowadzą już psa do zmysłów, Brabasson pożegnał go ostatecznie tak silnem kopnięciem, że pies potoczył się w rów trawą zarosły... Potem wziął się sam do popychania wózka, bo był to ostatni dzień przed walnym jarmarkiem w Louvain, a Brabasson chciał zająć dobre miejsce dla swojego kramu.

Był człowiekiem, a zatem jako istota rozumna, wyciągnął z Patrascha co się tylko dało: trzeba jechać dalej, Patrasche tymczasem zdycha sobie w rowie.

Droga do Louvain była bardzo ożywiona; setki osób pieszych, konnych i na wozach przesuwały się obok zamglonych oczu Patrascha, lecz większa część podróżnych nie zauważyła go wcale, reszta spojrzała, pomyślała — że już pewno nie żyje i poszła dalej.

Pod wieczór nadszedł starzec zgarbiony, słaby, kaleka, niemający wcale miny świątecznej. Spostrzegł psa — zatrzymał się i patrzył na zwierzę ze współczuciem. Ubogi weteran poznał towarzysza swej doli i serce zabiło żywiej pod połatanym mundurem.

Ze starcem było także dziecko — chłopiec z blond włosami i bladą twarzyczką; dziecina była tak małą, że uklęknąwszy w trawie schowała się w niej cała. I w oczach dziecka również malowało się uczucie litości.

Oto pierwsza chwila poznania małego Nella z dużym Patraschem.

Jan Daas zaniósł, z niemałym trudem, bezwładne zwierzę do swej lepianki, o kilka kroków od rowu.

Pies znalazł tam taką opiekę, że omdlenie sprowadzone przez upał, pragnienie i głód, ustępowało zwolna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Zaproszenie do przedpłaty.

»ŚWIATŁO« i nadal wychodzić będzie w tych samych, co dotąd, warunkach. Starać się będziemy coraz to więcej je urozmaicać, ażeby wszelki materyał nietylko zajmował umysł czytelnika, ale był dla niego i pożyteczny.

I na obrazki kłaść będziemy coraz to większą wagę i starać się będziemy zamieszczać także ryciny, które przemawiają do umysłu i serca.

W przyszłym kwartale zamieszczać będziemy także częściej ryciny humorystyczne z wierszami, których mniej było w ostatnim czasie.

Pismo ilustrowane niezbędnem jest w domu, gdzie pismo ma stanowić rozrywkę chwili wolnej. Pismo polityczne poucza człowieka w wszelkich sprawach życia spółecznego, ale nie wpływa do tyla na jego umysł, na jego serce, nie jego jest zadaniem uszlachetniać tem więcej istotę człowieka. Owszem, pisma polityczne, prowadzące walkę stronniczą, roznamiętniają tem więcej. Zadaniem pisma obrazkowego zaś jest łagodzić spory narodowościowe i inne i upatrywać w każdym człowieku swego bliźniego, który dąży do wspólnego każdemu narodowi celu, do coraz to większej oświaty.

Prosimy zatem dotychczasowych naszych czytelników, ażeby trzymali się wiernie »Światła«, jak dotąd. Niech zachęcają i drugich do abonowania, bo przez to przysłużą się sprawie dobra ogólnego, sprawie oświaty, która w dzisiajszym czasie tak każdemu potrzebna.

Z prawdziwym szacunkiem

REDAKCYA „ŚWIATŁA“.

Wyzyskiwacze.

Żebractwo jest klęską spółeczeństw, grasuje ono we wszystkich krajach. Nie do wiary, jakich to nieraz nędzarzy wspiera miłosierdzie, oto kilka przykładów z bruku wielkiego miasta.

Pewien przechodzień rzucił żebrakowi niewidomemu na moście paryskim, sztukę czterdziestofrankową, zamiast susa. Spostrzegłszy pomyłkę, wraca się, ale żebraka już nie było. Zafrasowany przystanął, namyślając się, co począć, wtem zbliża się do niego inny obdartus.

— Szukasz pan pana Alfonsa? — zapytał.

— Jakiego pana Alfonsa?

— Żebraka, który od kilkunastu lat tu staje.

— Więc to pan Alfons? Nie mógłbyś, przyjacielu, powiedzieć mi, gdzie on mieszka?

— Mieszka przy ulicy Montaigne.

— W bogatej dzielnicy miasta? — ździwił się oszukany.

Otrzymawszy numer domu, udał się we wskazane miejsce. Dom, gdzie mieszka niewidomy żebrak, to pałacyk, cacko architektury.

Wygalonowany drab wprowadził gościa do gabinetu, gdzie na otomanie wypoczywał pan Alfons, w szlafroku z niebieskiego aksamitu.

Przechodzień miał przed sobą wzorowego obywatela, wcale nie kalekę.

— Czem mogę służyć? — zapytał gospodarz, przypatrując się gościowi. — A, nie mylę się, to pan dałeś mi czterdzieści franków, zapewne przychodzisz błąd sprostować.

— To jest... właściwie — bąkał gość zmieszany, lecz mu przerwał pan Alfons.

— Bądź pan przekonany, że zamierzałem sam to uczynić. Oto czterdzieści franków, proszę.

Przechodzień zabierał się do wyjścia.

— Wybacz pan — zatrzymał go pan Alfons — nie jesteśmy w porządku: a mój sus? Pomyłka — pomyłką, słuszność — słusznością.

Równie ciekawe przykłady wylicza p. Maxime du Camp, członek dobroczynności, który na wylot zna żebractwo. Zdaniem jego, w stolicy nadsekwańskiej niema żebraka godnego litości. Niegdyś, na bulwarze Kapucynów, siadywał żebrak niewidomy, z psem obok i wielką harmonią. Ten oszust, po skończonej żebraninie, udawał się w karecie własnej na obiad do pierwszorzędnej restauracyi, a wieczór przepędzał w Operze; córkę wydał za notaryusza i wypłacił mu posagu 300,000 fr. (Frank liczy 80 fenygów).

Zręcznie oszukiwał, przeważnie lekarzy, b. student medycyny; prowadził on kontrolę jałmużn, a to w ten sposób: miał spisane nazwiska i adresy wszystkich lekarzy, obok zaś każdego nazwiska notował datę swoich odwiedzin. Trzymał się zasady, że każdego tylko raz na rok odwiedzał, a mimo to zbierał 15—18,000 fr. rocznie.

Nie wszyscy żebracy paryscy są bogaczami ale nie zdarza się, żeby zatrzymany przez służbę bezpieczeństwa publicznego nie miał przy sobie 8—10 fr., co stanowi przeciętny zarobek dzienny.

U nas, jak wszędzie, żebracy tworzyli od pogańskich jeszcze czasów klasę osobną, obyczajami, wyrazem twarzy, odzieżą wielce się od innych różniącą. Kraszewski w »Mistrzu Twardowskim« i »Zygmuntowskich czasach« barwnie przedstawił żebraków. Słusznie twierdzi niezapomniany powieściopisarz, że dla ludu dziad i baba od kolebki do grobu byli potrzebni.

Do domów wciskali się żebracy rozmaitymi sposobami: znosili czarodziejskie maści, zioła, zamawiali, wzbudzali miłosierdzie za pomocą modlitwy lub zmyślając rany i choroby; do najpospolitszych chorób żebractwa należały: obłąkanie, ślepota, głuchota, niemota, choroba św. Walentego i rany powstałe od przykładania jaskru.

Strój dziada bywał rozmaity; zwykle okrywały go łachmany, umyślnie postrzępione, głowę obwiązywał byle szmatą, z pod której wyzierały włosy stargane: także nosili szczudła, bielagi (sakwy), kałwicę (pudło na plecach) a w ręku kostur nieodłączny. Arystokracyę żebractwa stanowili udający albo naprawdę pielgrzymujący do Rzymu i Grobu Świętego; nie wychodzili z kraju inaczej jak za świadectwem policyjnem, wydawanem przez Radę Miejską, nosili ciemne płaszcze, tłómoczki ze skóry na plecach, kapelusze ze sznurami, u pasa paciorki i czarki do wody, a w ręku wysokie, u góry zakrzywione kije. Podczas nabożeństwa siadywali w kruchtach i modląc się sprzedawali pisane Suplikacye ludowi. Inni chodzili ze skarbonami, zbierając ofiary na kościoły lub na pogorzelców; inni wyłącznie udawali choroby. Byli spokojni, którzy siedząc przy kościołach, figurach, źródłach za cudowne uważanych, zadawalniali się jałmużną, ale także byli łotry, którzy kradli dobytek, nawet dzieci chłopom. Znanym fortelem dziadowskim było udawanie wilkołaków. Lud wierzył w czarodziejskie praktyki dziadowskie; wiara ta przetrwała po dziś dzień.

Żebracy miejscy potworzyli cechy, posiadali swoje wpisy, księgi, urzędników, skarbiec i biczowników, t. j. pilnujących, żeby obcy przybysze cechowym chleba nie odbierali. Cechy żebrackie u nas znajdujemy w XVI w., z gospodami własnemi, a członkowie obowiązani byli ściśle do rygoru się stósować. Przybysz obcy musiał się zaprezentować w cechu i dopiero po uzyskaniu pozwolenia mógł zbierać jałmużnę. Każdy z członków cechu miał wyznaczone dla siebie miejsce; co miesiąc odbywały się w gospodzie posiedzenia, z których protokóły spisywano.

Uważali się za dobrych obywateli, godniejszych od chłopa, rzemieślnika, kupca, i żądali opieki prawa dla swojej wolnej profesyi.

Dzwon na dnie jeziora.

Jezioro Odense, w Fionii, srebrzące się pod miastem tej samej nazwy, nie należy do głębokich. Tylko naprzeciwko starożytnego klasztoru znajduje się miejsce niebezpieczne, niezgruntowane, z którego, od czasu do czasu, wśród ciszy nocnej, odzywają się przytłumione dźwięki dzwonu. Brzmienie ich ponure i żałobne: ilekroć dadzą się słyszeć, zwiastują nieszczęście dla potomków Blakego, który przed wiekami był ulubieńcem króla Kanuta.

Dzwon niegdyś głosił chwałę Bożą z wieży klasztoru, dziś, leżąc na dnie jeziora, skarży się duchowi wodnemu na złość ludzką.

— Ding-dang! Ding-dang! — oto treść skargi — jestem bardzo stary, wiele widziałem i słyszałem wiele, gdym wisiał u szczytu dzwonnicy. Tysiące rzeczy wymknęło się z pamięci, ale o jednej zapomnieć mi nie wolno do skończenia świata, że za winą idzie kara, że za grzechy rodziców pokutują liczne pokolenia. To prawda niezbita, i ją to kazano mi ludziom przypominać.

— Dla czego leżę na dnie jeziora? — pytacie. Smutna to historya. Słuchajcie:

Bardzo dawno, panował król Kanut, zwany Dobrym. Serce miał na dłoni, nikomu krzywdy nie wyrządził; nędzarza przyodział, nakarmił a dla nieszczęścia miał słowo pociechy; jednakże znalazł się człowiek, który nienawidził dobrego monarchę, był nim jego powiernik — Blake. Kanut ani się spodziewał, że przytulił do piersi gadzinę jadowitą; nie wierzył braciom, Benedyktowi i Erykowi, którzy go przestrzegali.

Blake uknuł spisek przeciwko królowi; gdy rokosz wybuchł, Kanut i wtedy nie przewidywał, że to dzieło faworyta.

Wojsko króla zwyciężyli spiskowcy, on sam, z braćmi i Blakem, schronił się do klasztoru. Eryk i Benedykt strzegli drzwi kościoła z obnażonemi mieczami, podczas gdy król modlił się przed wielkim ołtarzem.

Tłum rokoszan nie śmiał wejść do świątyni; obległ ją i wrzaskliwie urągał monarsze. Blake chyłkiem wymknął się z klasztoru i wskazał zapaleńcom miejsce, gdzie się król znajdował. »Celny pocisk z procy uwolni was od Kanuta!« — podmawiał zdradliwie rozszalałą rzeszę.

I oto przez okno kościoła wpadł pocisk, ugodził Kanuta, który szepnąwszy: »Przebacz im Panie, oni nie wiedzą co czynią...« — wyzionął ducha.

Blake wydał na siebie wyrok: »Nie umrzesz śmiercią chrześciańską ty, ani które z twoich pokoleń« — tak go skazano w Niebiesiech.

Zdrada napoiła mię goryczą, uczułem, żem niezwykle ciężki. Gdy dzwonnik poruszył

mną, żebym zwiastował śmierć króla, oberwałem się i upadłem tu, na dno. Od tego czasu przepowiadam nieszczęście dla potomków zdrajcy; i dziś się odezwałem, bo przeczuwam, że jednego z nich pochłoną fale jeziora. Ożenił się z córką możnego pana, chociaż miłości jej nie posiada.

Patrzcie, pan młody, po godach weselnych wiezie piękną małżonkę do domu. Łódź przybrana kwiatami, nawet przewoźnik wiosło ozdobił wieńcem z lilii wodnych i wstęgami. Na brzegu stoją rodzice panny młodej, goście weselni: wszystkie twarze jaśnieją od wesołości, tylko panna młoda smutna, zadumana, nie słucha gładkich słów małżonka ani towarzyszek.

Pogoda sprzyja odjazdowi, słońce sieje złote blaski, na niebie ani jednej chmurki. Nagle wicher się zerwał szalony, łódź pędzi na oślep, sternik stracił nad nią władzę. »W Bogu jedynie nadzieja!« — woła i pada na kolana; za jego przykładem poszli wszyscy oprócz potomka Blakego, który bluźni. Burza wzmaga się, miota łodzią a ja powtarzam: »Nie umrze zdrajca śmiercią chrześciańską, ani które z jego pokoleń«. — Łódź uderzyła o skałę podwodną, przechyla się, bezbożnik wypada z niej i znika w otchłani wodnej.

Spełniło się! W tej chwili wiatr ucichł, słońce znów zabłysło. Nikt szwanku nie poniósł, nikomu włos z głowy nie spadł, tylko potomek Blakego spłacił część kary za pradziada.

Amerykańskie cmentarze.

Żaden naród na świecie nie chowa swych umarłych z takim przepychem, żaden nie dba może więcej o groby ich, jak amerykański. Dziwnym się wyda sąd o narodzie, który przesiąkł na wskroś nowoczesnym materyalizmem, który najwyższy ideał upatruje w dopięciu stanowiska w świecie handlowym, do którego dąży z żelazną wolą i energią. Cmentarze amerykańskie to prawdziwe raje ziemskie. Leżą w rozkosznej okolicy, zazwyczaj w tak uroczem miejscu, że nad widok z pagórka wznoszącego się wśród cmentarza, trudno sobie czasem coś rozkoszniejszego na ziemi wyobrazić. W Ameryce panuje zwyczaj wieńczenia grobów w Maju tak pysznemi a zarazem kosztownemi kwiatami, że w Europie pojęcia o tem nie mamy. W dniach wieńczenia cała ludność odnośnej miejscowości podąża na cmentarz. Z czasów wojen amerykańskich istnieje bardzo wiele wspólnych grobów poległych żołnierzy. O tych grobach pamiętają władze miejskie i corocznie przeznaczają tysiące dolarów na przystrojenie ich. Cmentarze same w sobie są, rzec można, prawdziwemi świątyniami sztuki nowoczesnej. Wszystko tam znaleść można, na co się poczucie piękna, połączone z dobrze zrozumianemi wymaganiami takiego miejsca, jak cmentarz, zdobyć może. Przechadzasz się tam, szanowny czytelniku, jak wśród czarujących ogrodów, pełno w nich klombów z kwiatami o najcudniejszych barwach, szklących się jak w zwierciadle stawów, uroczych gajów i sadzawek, z których wytryskująca woda mieni się wśród promieni słońca w kolorach dyamentów i szafirów, a mimo to całe to otoczenie nie pozwala ci zapomnieć, że się znajdujesz na miejscu wiecznego spoczynku.

Najwspanialsze zapewne cmentarze posiada miasto Brooklyn, które ściśle złączone jest w Nowym Jorkiem. Mieszkańczy Nowego Jorku chowają zmarłych w Brooklynie, ponieważ własnych cmentarzy nie posiadają. Jeden z cmentarzy jest katolicki, drugi protestancki, trzeci mięszany, przeznaczony dla osób obojga wyznań. Na katolickim cmentarzu, zowiącym się Calvary, pochowano w przeciągu 35 lat przeszło 50 tysięcy osób, na protestanckim od 1842 począwszy 40 tysięcy. Można z tych liczb nabrać małego wyobrażenia o ogromie tych cmentarzy.

Protestanckie cmentarze należą bardzo często do stowarzyszeń akcyjnych. Kilku bogaczy połącza się ze sobą, wybiera kilka pięknie położonych pagórków, zakłada tam stawy, strumyki, promenady, gaje i t. d., całość upiększa z wszelakim zbytkiem, stawia rozliczne kaplice i t. p. i »cmentarz« gotowy. Spółka wysyła następnie cenniki, ogłasza się w inseratach po dziennikach i w krótkim czasie wyrasta ze ziemi mnóstwo krzyży, nagrobków, piramid, figur i kapliczek. Drogo trzeba naturalnie opłacać miejsca spoczynku. Pojedyńcze miejsce dla dorosłej osoby kosztuje naprzykład 10 dolarów (dolar przeszło 4 marki), wspólny grób rodzinny począwszy od 50 dolarów. Ludzie robią zatem interes i na umarłych.

Prawie się wierzyć nie chce, gdy się słyszy, że niejeden bogaty Amerykanin każe stawiać krzyże, wieże, słupy, które kosztują 30 a nawet 100 tysięcy marek. Są nawet piramidy, mające uwieczniać pamięć zmarłego, które kosztowały 200 tysięcy marek, do których zbudowania sprowadzano umyślnie pierwszorzędnych rzeźbiarzy z Włoch.

Przez długie godziny obwozi zaprząg człowieka po rozlicznych alejach, wykładanych asfaltem. Czytasz tam napisy na nagrobkach w najrozmaitszych językach. Nie brak i naszej polskiej mowy pomiędzy nimi.

Kto więc kiedykolwiek znajdzie się w tym kraju zupełnej swobody obywatelskiej, niechaj zwiedzi cmentarze tamtejsze i westchnie przy grobach Polaków za dusze tych, którzy zdala od rodzinnego kraju poskładali swe kości do wiecznego spoczynku.

Praktyczne rady.

— **Farba na dachy blaszane.** Dach blaszany, z dobrego materyału, szczelnie ułożony i dobrze zlutowany, może przetrwać lat 40, jeśli go się zabezpieczy farbą odpowiednią. Skład farby następujący: 4,5 kilogramów czerwieni weneckiej (venetianisches Roth), 4,5 kilgr. minii, 4,5 kilgr. oleju lnianego. Blachę, przed ułożeniem, należy pociągnąć od spodu a układać ją na pasy tekturowe. W rok po pierwszem posmarowaniu trzeba smarowanie powtórzyć, a następnie czynić to samo co dwa lata.

— **Oziębianie wody.** Chcąc oziębić wodę bez lodu, trzeba wsypać do kubła wody 100 gramów siarczanu sody i 45 gr. kwasu saletrzanego, wstawić tam karafkę, a woda będzie zimna, jakby z lodu.

Rozmaitości.

* **Najniezdrowszem miastem** w Europie ma być Barcelona. Podczas gdy w Edymburgu na 1,000 ludności umiera rocznie 19, w Londynie i Sztokholmie 21, Brukseli 22, Paryżu i Berlinie 23, Wiedniu 26 osób, w Barcelonie umiera 31. Przyczyną śmiertelności jest grunt błotnisty; wilgoć nie ma ujścia, dlatego grasują stale gorączki zjadliwe.

* **Odkąd znane są sztuczne oczy?** Nie można z pewnością oznaczyć epoki, kiedy zaczęto wprawiać sztuc ne oczy ludziom, którzy wskutek wypadku lub choroby utracili własne. Pisarze średniowieczni utrzymują, że sztuka ta znana była Egipcyanom, Grekom i Rzymianom, ale niema na to dowodów. Pierwszą wzmiankę o sztucznych oczach znajdujemy w dziełach sławnego chirurga, Ambrożego Pare, z r. 1582. Rozróżnia on dwa rodzaje takich oczu: Pierwszy składał się z żelaznej blaszki obciągniętej skórą, na której wymalowana była źrenica; wkładano ją w oko niby monokl, przytrzymywany za pomocą sprężyny. Drugi rodzaj sztucznego oka stanowiła łupinka ze złota, srebra lub miedzi, starannie emaliowana i włożona w jamę oczną pod powiekę. Metalowe oczy były bardzo drogie i ciężkie, zastąpiono je w siedmnastym wieku szklanemi lub porcelanowemi, a wyrób ich doszedł do takiej doskonałości, że nie można ich było odróżnić od naturalnych. Miały tylko tę wadę, że łatwo się tłukły, ale zapobieżono temu przez przyrządzanie masy szklanej, elastycznej. Najsławniejsze fabryki sztucznych oczu znajdują się w Paryżu, Wiesbadenie i Lipsku.

* **Które rzemiosła mają swoich patronów?** Czterdzieści dwa rzemiosła mają za patronów Świętych Pańskich; każdy cech wybierał za opiekuna takiego Świętego, który trudnił się tem rzemiosłem. Płatnierze wzięli za patrona św. Jerzego, piekarze św. Winifreda, golarze św. Ludwika, ogrodnicy św. Dorotę, księgarze św. Jana, piwowarzy św. Floryana, szczotkarze św. Antoniego, mydlarze św. Łucyana, stolarze św. Józefa, tkacze św. Pawła, lekarze św. Kosmę, farbiarze św. Maurycego, przewoźnicy i żeglarze św. Krzysztofa, rybacy św. Piotra, złotnicy św. Eligiusza, kapelusznicy św. Wilhelma, rolnicy św. Izydora, myśliwi św. Huberta, prawnicy św. Iwona, ślusarze św. Prota, młynarze św. Arnolda, górnicy św. Barbarę, muzykanci św. Cecylię, malarze św. Łukasza, śpilkarze św. Sebastyana, garncarze św. Gaudentego, pasterze św. Wendelina, szewcy św. Kryspina, optycy św. Fridolina, krawcy św. Bonawenturę, garbarze św. Klemensa, poborcy św. Mateusza, podróżni św. Rafaela, szlifierze św. Bonifacego.

* **Śnieg jest złym przewodnikiem ciepła;** pod jego warstwą ziemia nietylko nie traci ciepła, ale nawet przy najniższej temperaturze o połowę mniej marznie, niż kiedy jest odsłonięta. Prócz tego śnieg użyźnia ziemię, gdyż spadając oczyszcza powietrze, pochłania ogromną ilość pyłu i organicznych substancyi, które podczas topnienia śniegu wsiąkają w ziemię. Najlepszym tego dowodem jest bujna roślinność w miejscowościach, gdzie śnieg długo leży i zwolna topnieje, naprzykład na połoninach górskich.

ŻARTY.

Kto jest najwstydliwszy?

Bezwarunkowo nos, gdyż uwydatnia on tak wrażliwie moralne uczucia, że zarumieni się, jeżeli właściciel jego jest pijakiem.

Przyczyna.

— O! cóż to się stało łaskawa pani? W dzień powszedni tak wystrojona!?

— Muszę nosić na sobie co mam najlepszego z obawy przed moim mężem. Zastawiłby natychmiast!

Nasze sługi.

Pani: Powiedz mi, dlaczego odeszłaś z ostatniej służby?

Sługa: Niech pani znów nie będzie tak ciekawą. Czy ja się pani pytam, dlaczego ostatnia sługa nie mogła u pani wytrzymać? Co?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

poleca

Zarys dziejów Polski Porozbiorowej. Cena 1,25 m., z przesyłką 1,35 mk.

Wojsko polskie z 1831 r. z obrazkami. Cena 2 mk., z przesyłką 2,10 mk.

Podręcznik geografii ojczystej. Cena 1,25 mk., z przesyłką 1,35 mk.

Nabożeństwo do św. Antoniego Padewskiego napisał ks. Euzebiusz Stephan, prob. w Tworogu. Za pozwoleniem książęcobiskupiego wikaryatu jeneral. Cena 35 fen., z przesyłką 38 f.

Prawo zabezpieczające robotników na słabość i starość z dnia 22-go Czerwca 1879, które 1-go Stycznia 1891 wyszło w życie. Cena 40 fen., z przes. 45 fen.

Żywot św. Stanisława Kostki (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Żywoty ś. Jadwigi, bł. Kunegundy, Jolenty, Salomei, (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Modlitwa do św. Józefa (po polsku i po niemiecku), 2 fen., z przesyłką 5 fen. (100 egzempl. 1,70 mk. franko).

Cudowne przeniesienie Domku N. M. Panny z Nazaretu do Loretu, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Wykaz przyjęcia do bractwa trzeźwości 10 fen., z przes. 13 fen. (100 egz. 4,50 m. fr.)

Pieśni kalwaryjskie, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Rachunek sumienia czyli Przygotowanie do pierwszej spowiedzi świętej 5 fen., z przesyłką 8 fen. (100 egzempl. 4,50 m. franko.)

Litania do Przenajśw. Serca P. Jezusa 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Modlitwa przez Stolicę Apostolską nakazana, 2 fen., z przes. 5 fen. (100 egzempl. 1,70 m. franko).

Pieniądze trzeba nadsyłać naprzód. Zamawiać można pod adresem: **Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)**

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu

poleca co dopiero wydaną, bardzo piękną książkę pod tytułem:

Z niwy ślązkiej.

Wiersze Czesława Lubińskiego

2 tomy po 160 str. w jednej książce.

Cena za egz. nieoprawny	. . . .	1,00 m.
„ „ „ oprawny	. . . . .	1,50 „
„ „ „ eleg. oprawny w płótno		1,80 „

Na portoryum prosimy dołączyć 20 fen.

Każdy Polak na Szląsku powinien tę książkę posiadać!

Za nadesłaniem należytości w znaczkach pocztowych przesyła odwrotnie

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

DZIEJE POLSKI
OD POCZĄTKU DO NAJNOWSZYCH CZASÓW.

Według najlepszych źródeł opracował **Maryan z nad Dniepru.**

Całość obejmuje mniej więcej 300 stronnic druku w 8-ce z 80-ciu pięknemi obrazkami ważniejszych wypadków dziejowych, wizerunkami królów i sławnych mężów polskich.

Cenę pomimo starannego wydania, aby nabycie dziełka w trudnych dziś stósunkach każdemu umożliwić, ustanowiono na

1 markę 60 fenygów.

Upraszamy o łaskawe zamówienia i jesteśmy przekonani, że wydatku tego nikt nie pożałuje. Zamówienia prosimy nadsyłać pod adresem:

WYDAWNICTWO „KATOLIKA“,
Bytom, ulica Piekarska nr. 29.

Nakładem Wydawnictwa „Katolika“

wyszły i są do nabycia:

Pieśni Polskie

używane

na Górnym Szląsku.

Zebrał **J. Gallus.**

Cena zeszytu 20 fen.

Dziesięć zeszytów oprawnych w jednę książkę za 1 mk. 50 fen., z przesyłką 1 mk. 70 fen. — Pięć zeszytów oprawnych w jednę książkę za 1 mk. z przesyłką franko. — Należytość przesyłać należy w liście naprzód w znaczkach pocztowych. — Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)